

Zamachowski: Brzeziny to moja tożsamość

Michał Gołębek: - Pan się nigdy Brzezin nie wypiera. To jest sentyment, przyzwoitość czy poczucie patriotycznego obowiązku?

Zbigniew Zamachowski: - To jest tożsamość przede wszystkim. Ja się z tym miastem identyfikuję na najgłębszych poziomach tego, co o mnie stanowi. Pięknie to wyraził Kazimierz Kutz w swojej książce „Piąta strona świata”, nie pomnę dokładnego cytatu, ale jakoś tak, że nie wolno nigdy zapomnieć, skąd się pochodzi, bo to jest w nas, takie zupełnie pierwotne, od nieświadomionego dzieciństwa, przez pierwsze doświadczenia, percepcję całej rzeczywistości, nawet niuanse wspólnotowego języka. Niemcy mają na to fantastyczne określenie: Heimat.

Mała ojczyzna...

- Każdy powinien ją mieć i hołubić, i zakorzeniać się możliwie najintensywniej w tej swojej małej ojczyźnie, bo w ostatecznym podsumowaniu może być tak, że to nie my ją stwarzamy, ale ona nas. Ona nami przemawia i gdybym tego Heimatu nie nosił w sobie, może pusty bym był, nie mógłbym dać ludziom tego, co teraz daję, co wyrażam sobą na scenie i w życiu.

Ale z drugiej strony ten Heimat brzeziński Zamachowskiego z siebie wydał. I to też może być powód do dumy małomiasteczkowej zwłaszcza dla młodych. Bo skoro on tam w wielkim świecie taki doceniany, to może i ja bym tak, może i mnie...

- Stąd było pewnie trudniej wydostać się na tak zwane szerokie wody, natomiast ja nigdy nie miałem poczucia, że robię coś niezwykłego, albo że to jest jakiś wysiłek. Dla mnie to było tak naturalne jak oddychanie. Zawsze chciałem się nauczyć grać na fortepianie, poszedłem więc do ogniska muzycznego, potem otworzono szkołę muzyczną, więc natychmiast się zapisałem i zacząłem grać. Nie byłem może najzdolniejszym czy najlepszym uczniem, bo byłem dość leniwy, jeśli chodzi o granie etюд, ale zanim to zdołałem pojąć, już kleciłem nuty i pisałem piosenki. Później się zdarzyło Opole, na którym występ sprawił, że zagrałem w filmie, a że zagrałem w filmie, no to zdałem do szkoły filmowej i tak się to potoczyło. Nie ma żadnego fenomenu Zamachowskiego. Widuję podczas występów zespołów teatralnych szkół brzezińskich wielu moich następców. Każdy z nich ma deski sceny pod nogami, jak i ja miałem, niech ruszają w świat, niech go zdobywają.

Po „Wielkiej majówce” przyjęto pana do łódzkiej „filmówki”, ale ponoć na przedostatnim miejscu i z zastrzeżeniami.

- Miałem bardzo poważną wadę wymowy, spowodowaną wypadkiem na ulicy Piłsudskiego, kiedy mój kolega w ramach żartów strzelił piłką w rower, który mnie niósł w kierunku domu. Trafił precyzyjnie w przednie koło. Wyrznąłem z impetem w jedyny betonowy słup, jaki tam stał. Połamałem sobie podniebienie i nos. No i później miałem kłopot z układem fonetycznym i seplenieniem niemilosiernie, co zresztą da się słyszeć na moich wczesnych nagraniach. W związku z tym dostałem się do szkoły, jak pan powiedział, na przedostatnim miejscu, z zastrzeżeniem, że muszę zrobić przez pierwszy rok na tyle duże postępy, jeśli chodzi o dykcję i wymowę, że pozwolą mi zostać.

Ciekawe, jak wiele lat później grono profesorskie poczuło się, kiedy Anthony Hopkins po obejrzeniu pana kreacji w „Białym” Kieślowskiego powiedział, że jest pan jednym z najlepszych aktorów na świecie.

- No cóż, kiedy tego wielkiego artystę sceny i ekranu zapytano, czy zna jakichś polskich aktorów, wymienił mnie i w niezwykle pochlebnych słowach wyrażał się o mojej pracy, co było i wciąż jest jednym z największych zawodowych laurów, jakie otrzymałem. Być docenionym przez takiego mistrza, to jest nagroda, dla której warto ten zawód uprawiać.

Cały wywiad można przeczytać w październikowym numerze "Kalejdoskopu"